

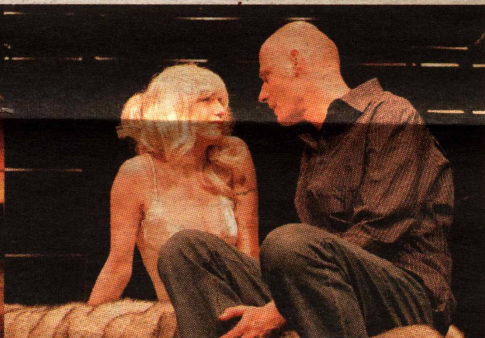
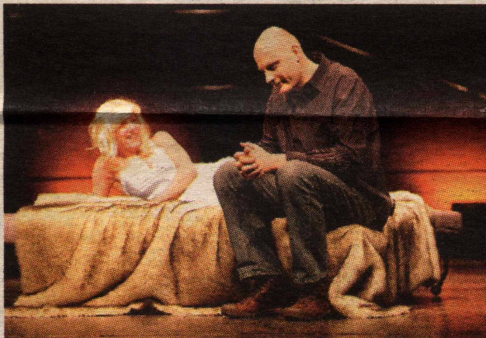
Edmond, czyli każdy

Polskie teatry podchodzą do twórczości Davida Mameta jak pies do jeża. Spektakl warszawskiej Montowni, choć może zbyt bezpieczny, ma szansę odwrócić tę tendencję

Mamet to mistrz nad mistrze. Znam niewiele współczesnych dramatopisarzy z takim wycuciem stylu, krwistego języka, dynamicznego dialogu. Niewielu tak jak on umie konstruować sylwetki bohaterów. Rzekłbym, że przynależą oni do najlepszej tradycji amerykańskiego kina. David Mamet zna ją jak mało kto. Wiele jego sztuk doczekało się ekranizacji, często w reżyserii autora. Wiele filmów nie osiągnęłoby sukcesu bez jego scenariusza. Gdybym miał wybrać jeden ulubiony utwór Mameta, wska-

trze wykonawcy zmieniają kostiumy i charakteryzację, czekając na kolejne swoje wejścia. Zatem teatr jak na dłoni, a to z kolei podkreśla archetypiczny charakter opowieści. W takim ujęciu „Edmond” staje się moralitetem o piekle zachodniej cywilizacji produkującej dziś ludzi zbędnych, do cna wypalonych, bez skutku poszukujących dla siebie jakiegokolwiek celu.

Takich jak Edmond, który pewnego dnia oświadczył żonie, że już jej nie kocha, wstał i wyszedł w nocne miasto. Chciał zasmakować życia, jakie znał tylko z ekranu i legendy. Przespać się z tanią dziwką, spróbować hazardu, poczuć prawdziwą adrenalinę. Okazało się, że świat jest przeciw niemu, dlatego sam postanowił wymierzyć sprawiedliwość. I skończył jako morderca w kryminale.



załbym bez wahania „Glengarry Glen Ross”. W zamkniętym kręgu sprzedawców nieruchomości zamknął on mały traktat o potędze ludzkiej chciwości. Mam jeszcze w oczach sceny z ekranizacji sztuki, podpisanej przez Jamesa Foleya – genialne role Pacino, Lemmona, Spaceya.

Polski teatr zwykle jest wobec sztuk Mameta bezradny. Z „Glengarry...” zrobiono w warszawskim Powszechnym grzeczny seans dla każdego, w krakowskim Starym przed laty nie udało się „Przerznąć sprawę”. Wyjątkiem od reguły był znakomity „Bizon” Zbigniewa Brzozy, przygotowany w łódzkim Jaraczu. Grali Wrocławski, Siatkowski i Mastalerz. Gdyby ich wstawić do amerykańskiego filmu, rzecz zyskałaby więcej niż w znanej ekranizacji z Dustinem Hoffmanem w roli głównej.

„Edmond” z warszawskiej Montowni spektaklem na miarę owego „Bizona” nie jest, ale i tak aktorzy i reżyser Krzysztof Stelmaszyk wychodzą z konfrontacji z Mametem obronną ręką. Chcąc zagrać dramat w wersji kanonicznej, potrzeba by kilkunastu aktorów. W przedstawieniu mamy szóstkę, co znacząco zmienia perspektywę. Wszyscy, poza Maciejem Wierzbickim w roli tytułowej, grają po kilka epizodów jednocześnie. Scenograf Paulina Czernek wybudowała na scenie metalową konstrukcję. Na jej pię-

Montownia wkłada dramat Mameta w nawias konwencji. Siła spektaklu Stelmaszyka tkwi w dialogach, bo Wierzbicki, Krawczuk i Rutkowski czują się w nich bardzo pewnie, nie bojąc się mocnych fraz pisarza. Droga na dno Edmonda zostaje zatem opowiedziana ze sceny, a w obrazach tylko zasugerowana. To rozwiązanie się sprawdza, bo Wierzbicki daje pełny portret współczesnego everymana w wielkim mieście, a towarzysząca mu w większości epizodów kobiecych Agata Wątróbska jest równie dobra jako porzucana żona, jak i tancerka z klubu go-go. Wyobrażam sobie jednak „Edmonda” ostrzejszego, wystawiającego na szwank przyzwyczajenia publiczności. Tak czy inaczej jest dobrze. Tym bardziej że „Edmond” z Montowni to przewrotne przedstawienie. Reżyser nie pozwala światu upodlić się dokumentnie. „Myślę sobie, że ta zima kiedyś musi minąć” – śpiewa w finale słodkim głosem Wątróbska. I jest w tym tyle samo ironii, co nadziei.

Jacek Wakar

EDMOND

David Mamet

reż. Krzysztof Stelmaszyk

Teatr Montownia w Warszawie

Premiera 30 marca

